Rok I. Kraków, 25 lutego 1870. Ner 6.



Czasopismo „Kwiaty“ wychodzi trzy razy na miesiąc, tojest 5, 15 i 25.

INSERATY
przyjmują się za opłatą 4 centów od miejsca drobnego wiersza (petit) z dołączeniem 30 centów na stępel rządowy, od każdorazowego ogłoszenia.

TREŚĆ:

Szkice z życia artystów (ciąg dalszy). — Obrazek myśliwski, ustęp z niewydanego poematu „Ostatnie polskie łowy,“ przez *Leopolda hr. Starzeńskiego.* — Wyjątek z „Pamiętników księcia Ogińskiego“ (ciąg dalszy). — Przegląd literacki przez Cz. P.: (Pogadanki o literaturze węgierskiej (ciąg dalszy). Biblioteka „Mrówki.“ Umrzeć z miłości, Stella, Minerva národni zabavnik). — Kronika i rozmaitości: (Ojczyzna. Djabeł. O balach). — Korespondencja redakcji.

PRENUMERATA:
roczna . . 6 złr. = 25 frank. = 4 tal. 15 sgr.
półroczna 3 „ = 13 „ = 2 „ 10 „
kwartalna 1 „ 60 cent.
którą posłać należy pod adresem Redakcji „Kwiatów“ ul. Szpitalna L. 404.

Reklamacje niepieczętowane, nieulegają opłacie pocztowej.

SZKICE
Z ŻYCIA ARTYSTÓW.

(Ciąg dalszy).

Pułkownik przycisnął go do serca — i rzekł:

— Teraz rozumiem wszystko — a czy syn mój wie o tem?

— Nie jeszcze.

— To teraz zrozumie może, czemuśmy obydwa tak biedni!

Wzruszenie pułkownika było tak wielkie, że przemogło żelazny jego charakter i silną naturę.... Przeciągnął się na sofie, i leżał bez ruchu godzinę, nie rzekłszy ani słowa, nie zdradzając żadnym ruchem tego, co się w duszy jego działo.

Henryk posłał po powóz i zawiózł pułkownika do pomieszkania swego. Tu powróciła mu dawna spokojność i siła. Dobywszy mały nożyk z kieszeni, przeciął nim kieszeń, którą miał w sołdackim płaszczu na piersiach, i wyjął z niej płaski pulares, z dwóch cienkich deszczułek zrobiony a zawiązany rzemyczkiem — i wydobył z niego jakieś papiery, a rozkładając je ostrożnie na stole, rzekł do Henryka:

— To jedyne moje dokumenta.

Był to dzienny rozkaz głównego sztabu, dany pułkownikowi w wilią bitwy pod Mozajskiem — a drugi dokument, był to ostatni list żony pułkownika, który już w obozie pod Warszawą otrzymał, przed przejściem jeszcze wielkiej armji przez Niemen.

Ze łzami odczytał Henryk ten list matki Felicjana, w którym polecała błogosławieństwu ojca jedynego syna.

Pułkownik złożył oba te dokumenta do tych, które mu Henryk przyniósł, i rzekł:

— Teraz, kiedy mam dowody wszystkie z przeszłości mojej, nie mogę być już dłużej sołdatem moskiewskim, i muszę jako tako żyć wedle stanu.

Tu sięgnął znowu do pugilaresa, i przeszukując w papierkach czas niejakiś, wydobył z niego owiniętą w grubą bibułę kredytywę na pięćdziesiąt tysięcy rubli jednego z pierwszych bankierów w Moskwie, wydaną na okaziciela — a oddając tę kredytywę Henrykowi, rzekł mu:

— Zajmij się tem, aby ci to wypłacono. Ja zostanę tu, a że będziemy mieli wydatki, potrzeba podjąć piątą część tych pieniędzy.

Henryk siadł do powozu i pojechał na giełdę. Tam zastał swego bankiera i pokazał mu kredytywę.

— Niema kwestji — rzekł bankier, otrzymaliśmy tu na giełdzie wiadomość o tej kredytywie, i mogę ją wypłacić zaraz.

Po upływie pół godziny, powrócił Henryk z pieniądzmi. Pułkownik zostawił u niego i papiery i pieniądze swoje, i rzekł, że się z nim przy jeleniach widywać będzie, albo go tu czasem odwiedzi, odznaczając palcem na zegarku godzinę, o której będzie bywał. Prosił go o to tylko, aby to co zaszło, zachować dla siebie.

Do kogoż mogło się to odnosić, jak nie do Felicjana, i to utrudniało na nowo zbliżenie się Henryka do niego.

Od przybycia Henryka do Wiednia upływał już trzeci miesiąc. Henryk starał się zabrać znajomość z Polakami bawiącymi w Wiedniu, ale nie łatwą było to rzeczą, bo mieszkał w jednym z pierwszych hoteli, był ubrany podług ostatniej mody, więcej jeździł niż

chodził, jadał w pierwszych restauracjach, bywał po pierwszych kawiarniach, a to wszystko nie ułatwiało znajomości z ubogą Polonią, która przez dzień cały zatrudnieniom swego powołania oddana, mieszkała gdzieś daleko na przedmieściach lub na wysokich poddaszach, jadała w tanich garkuchniach, a zbierała się dopiero późno w niepozornych knajpach na poufne rozmowy lub patrjotyczne zebrania.

Trudno jest w wielkiem mieście narzucać się komuś. Czem bardziej ktoś znajomości szuka, na tem większą natrafia obojętność, a wzbudza nawet podejrzenie w końcu.

Dodać tu jeszcze trzeba, że Polonia w owych czasach była bardzo podejrzliwą i niełatwą w pożyciu. Prześladowania polityczne były wielkie, oko policji na każdy ruch Polaków bardzo czujne, wpływ emisarjuszów i czasowych ideji na umysły młodzieży był wielki, każdy Polak należał prawie do jakiegoś tajemnego związku, i w najróżnorodniejszych kierunkach krzyżowały się zabiegi i usiłowania tak stronnictw jak i związkowych.

Henryk szukał wszędzie Felicjana, ale nigdzie nie mógł się zetknąć z nim, i każdy Polak którego prosił, aby go z Felicjanem poznał, wymówił się od tego składając się, iż niewie gdzie mieszka, gdzie przebywa i przychodzi, a każdy z nich dodawał, że jest to człowiek pracy, ubogi, niełatwy w pożyciu, uciśnięty nadto dziś jeszcze utrzymaniem ojca niepełnego rozumu, słowem, że nie pojmuje, co może być powodem do szukania z nim znajomości.

Po wielu jednak tego rodzaju zabiegach i rozmowach, zrozumiał Henryk wysokie stanowisko, jakie Felicjan zajmował w kole tej ubogiej młodzieży, spostrzegł, jaki wpływ wywiera na nią, że miał cześć powszechną i że był niejako przez nią strzeżony, jako człowiek ważny i wyższy.

Sam też, zajrzawszy bliżej w życie Felicjana, pojął, że jest bardzo surowych zasad, które w praktyce życia do egzaltacji posuwa. Utrudniało i to zbliżenie się obydwu, gdy Felicjana ostrzegli Polacy, że go jakiś elegant panicz wszędzie szuka, że pytał o niego parę razy u kamienicznego stróża, i że był nawet raz w pokoju jego, o czem się sam Felicjan od małej dziewczynki dowiedział, która mu służyła.

Zaniepokoiło to tedy całą Polonię, ktoby był ten jegomość? i poczęto go śledzić! Pokazano go nawet Felicjanowi w ogródku, a on poznał w nim owego człowieka, który przed trzema miesiącami prawie, siedział obok niego w restauracji, i podsłuchał widać całą poufną rozmowę, jaką miał z solenizantem dnia owego.

Henryk mówił bardzo dobrze po polsku, lubo się za granicą chował, bo stryj mu dawał mentora Polaka, ale ze stroju, z ruchów i obyczajów był niby Francuzem, i w niczem niepodobny do Polaka, a że był potomkiem historycznego domu i człowiekiem możnym, to oddalało jeszcze więcej ubogą Polonję od niego, a nawet Felicjana, który się w końcu dowiedział o tem, że Henryk był towarzyszem jego młodości.

Drażliwość jego posunęła się do najwyższego stopnia, ztąd, że go Henryk nie odszukał przez przeciąg trzech miesięcy prawie, i że w końcu, jakby na urągowisko z nędzy jego, znalazł się w jego mieszkaniu i zabawił przez czas dłuższy, wypytując dziewczynkę o wszystko.

Opiszemy tu to pomieszkanie. Wschody piątego piętra, które już do poddasza prowadziły, były bardzo przykre, a drzwi były otwarte prowadzące na poddasze. W dwóch izdebkach małych, połączonych z sobą kilku wschodami, byly także okna otwarte, a mała dziewczynka kończyła w tych izdebkach sprzątanie i przybierała się do zamykania okien, kiedy, ujrzawszy Henryka, zapytała grzecznie:

— Czy pan Polak jesteś?

— Tak jest, odrzekł Henryk.

— To pan pewnie chce zamówić jaką robotę u naszego malarza? On zaraz powróci — proszę siadać.

Henryk siadł, a mała dziewczynka poczęła mu opowiadać o Felicjanie — jaki to dobry, jaki łagodny, jaki poczciwy pan, jak on po całych dniach pracuje, jaką jej sukienkę sprawił na święta, że ją uczy czytać, pisać i rysować wzorki do haftu, które wszyscy podziwiają, i za które jej hafciarki bardzo dobrze płacą, i żeby jak był zajęty, to jej odpowie zawsze na pytanie i żyje w wielkiej przyjaźni z jej rodzicami, jak nieraz — aby nie chodził po wschodach, to każe sobie do ich mieszkania na dole przynieść wieczerzę lub kawę. Mówiła, że ma od niego kanarka, i tem się tylko smuci, że pan jej powiada zawsze, że będzie się musiał zabrać z Wiednia; że od kilku miesięcy przybył mu nowy ciężar — jakiś stary rosyjski żołnierz, który tu na kanapie sypia i razem z jej panem obiad przed wieczorem jada, który ona im nosi; że ten stary niema rozumu i głuchy, ale także bardzo grzeczny, — że jak im obiad przyniesie, to daje jej zawsze na odchodnem śrebrniaczka.

Dziewczynka kończyła sprzątanie — a Henryk rozpatrywał się w izdebce, która była sypialnym pokojem i pracownią zarazem. Światło miała ta izdebka dobre, bo poddasze górowało nad sąsiednie kamienice od strony północnej. Na ścianach wisialy różnego rodzaju olejne szkice i studja, po stoliczkach leżały rozłożone polety, pędzle i farby; — w drugiej izdebce stały na ziemi o ścianę oparte obrazy, a na dwóch długich deskach leżały rzędem ułożone tabakierki i tacki, niektóre z nich były dopiero podłożone, drugie w części podmalowane, inne na wykończeniu, a skończone już tacki i tabakiery leżały z osobna. Było to widocznie fabryczne zadanie, ale Felicjan nie malował po fabrycznemu tych tabakier i tacek, i widoczki na niektórych były prześliczne i bardzo wykończone — a wszędzie wspomnienia z ojczyzny, z jakiemś dziwnie głębokiem uczuciem rzucone. Były to widoki polskich wiosek, kościółków i dworów, a nie było dwóch widoków do siebie podobnych. Widocznie wynagradzał się tu artysta za swoją pracę tem, że w każdym obrazku był twórcą na nowo, i że tą twórczością swoją osładzał nędzę swej pracy.

Z boleśnem uczuciem przypatrywał się Henryk tej galerji tabakierek i tacek, a uczucie to rosło z każdą chwilą, i rzekł w końcu sam do siebie:

— To się opłacać nie może, a pojął — czem się taki żywot artysty płaci.

Przeszło godzinę trwała ta rozmowa, a Henryk, nie doczekawszy się przybycia artysty, zostawił kartę swoją i spuścił się z poddasza.

I znowu upłynęło dni kilka.

Pułkownik nie przychodził do jeleni rankiem, bo był widocznie cierpiący i przeleżał większą część dnia na sofie, a Henryk niepokoił się tem, że pułkownik do niego nie przychodzi, zostawiwszy w ręku jego dokumenta swoje i pieniądze.

Po kilku dniach niebytności, pokazał się Felicjan znowu dość późno na gospodzie, gdzie się zwykł był widywać z Polonią, i stroskany siadł sobie na stronie, a znajomi i przyjaciele otoczyli go i pytali o zdrowie i powodzenie, i dlaczego tak dawno nie był? gdzie się zapodział?

— Ojciec mój jest widocznie od kilku dni chorym, a co najgorsza, to że się leczyć nie chce. Sprowadziłem mu lekarza i rozgniewał się, więc nie wiem, co robić?

— Nic nie robić, to żelazna natura, zmiana sposobu życia — może klimatu, trzeba go zostawić. Kiedy się leczyć nie chce, znać niema nic strasznego. Starzy wojskowi są sami dla siebie najlepszymi lekarzami — rzekł młody wesoły chłopaczek, także artysta malarz, którego Polonia „Węzełkiem“ zwała.

— Powiedz mi co robi?

— To co zwykle — rzekł Felicjan, wstawszy rano goli się najprzód i myje, potem ubrawszy się mówi pacierze klęczący, potem zapali lulkę — ale odkłada ją po chwili, bo widać niema do niej gustu, nie je nic prawie, często pokłada się i drzymie i ma wielkie pragnienie do kwasów, jada tylko barszcz i pije limonjadę.

— Będzie zdrów jak ryba! rzekł wesoło Węzełek, a zresztą, ja ci powiem — co zrobić. Wiesz o tem, że jegomość lubi mnie bardzo, — otóż jutro, wynieś się zaraz rano z domu, a ja przyjdę z lekarzem naszej Polonji, jegomość nie rozgniewa się na mnie, i jeżeli go leczyć trzeba będzie, to przyjmie odemnie lekarstwo.

Tak się stało. Całe grono odprowadziło Felicjana do drzwi jego domu, Węzełek wyprawiał różne krotochwile po swojemu, i wypogodzony nieco powracał Felicjan do domu.

Twardo spał już pułkownik, kiedy Felicjan na poddasze wstąpił, więc zdmuchnął tylko lampę i ułożył się do snu, ale zaspał tak twardo, iż Węzełek wszedłszy nazajutrz z lekarzem do izdebki, zbudzić go musiał.

— Miałeś wstać rano, rzekł trochę niecierpliwie do Felicjana, więc wynoś się proszę i zostaw nas tu z jegomością samych.

Pułkownik siedział już na kanapie i palił lulkę. Felicjan ubrał się spiesznie, dał dziewczynce do koszyczka tabakierki i tacki, które już ukończone były, aby je odniosła do handlu, a pożegnawszy ojca i swych gości, wyszedł z dziewczynką na miasto.

Węzełek był w najlepszym humorze, i na migi dał pułkownikowi do zrozumienia, że będzie swoim konceptem i stylem malował na tabakierkach obrazki, bo Felicjan robi to bardzo powoli i żmudnie, bardzo starannie i szlachetnie, a tu właśnie nie potrzeba sztuki tylko konceptu, wziął tedy jedną tabakierkę, i wymalował na niej pincza służącego na dwóch łapkach, bardzo pokornego, który z wielkiem pragnieniem patrzał na kiełbasę wiszącą przed nim na ścianie wysoko. Pułkownik śmiał się serdecznie, siedząc za Węzełkiem z tyłu, a lekarz w ciągu tej roboty wziął pułkownika parę razy niby z przypadku za rękę, wskazując mu pewne szczegóły tego obrazku bardzo trafnie rzucone, na podłodze przed pieskiem bowiem leżała porzucona dyscyplina, a cały obrazek był bardzo wymowny i nie potrzebował objaśnienia.

W przeciągu godziny ukończył go i zapytał lekarza nieznacznie:

— Czy mam drugą jeszcze odmalować tabakierkę? Czyś już konsyliarzu twoją dijagnozę zrobił? — Doktor rzekł zupełnie spokojnie:

— Niewiedzieć, po coś mię tu ściągnął; z pulsu, z ruchów. z cery jegomości widzę, że zdrów zupełnie, niema żadnej obawy. Gdyby był słabym, nie paliłby lulki, a widać że ją z gustem pali.

Tu jakby na poparcie tych słów, podniósł się pułkownik, sięgnął do szafeczki, dobył wódkę i przekąskę, i wypił do gości, tłomacząc Węzełkowi, że on go uzdrowił.

— Kiedy tak, mówił Węzełek do lekarza żartobliwie, to ja mu tu jeszcze innego figla wystroję!

I postawił na sztaludze blaszane pudełko płaskie, które po jednej stronie miało przygotowany grunt pod obraz; był to zegar ścienny który miał się zmienić w obraz, zegarmistrz wszakże i mechanik zostawił mało swobody malarzowi, bo w znacznej wysokości umieścił cyferblat zegaru, który prawdopodobnie miał figurować na jakiejś wieży, a na pierwszym planie siedział ślufierz nad toczydłem, i kowal nad kowadłem; kiedy zegar bił, szlifował ślufierz i kuł kowal, bo były to ruchome figurki, z blachy wyroblone wraz z całym warsztatem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OBRAZEK MYŚLIWSKI

ustęp z niewydanego poematu „Ostatnie polskie łowy“

przez

Leopolda hr. Starzeńskiego.

Hej! dalej w bory! Nemroda dzieci,
Już czas do pracy — rzucajcie łoże!
Różana zorza od wschodu świeci,
A szron się rozległ w koło jak morze.
Wietrzyk już przetarł nocnej mgły szatę;
W jej śrebrnych ramach — jak gdyby w dymie
Tam widne lasy w zwierza bogate,
To bór jodłowy na wzgórzu drzymie.
Spieszmy go zbudzić pieśnią ogarów,
Najmilszą uchu łowca muzyką,
I zawitajmy śród jego jarów,
Z naszą drużyną krwiożerczą, dziką.

Słyszysz? pobudkę trąbka zagrała
I osiodłane już rżą rumaki,
W pochód gotowa drużyna cała,
Do lotu chętne krwi chciwe ptaki.
I już ogary skomlą i łają,
Ledwie na drążkach szczwacz je dotrzyma,
Coś dobrą wróżbę zapowiadają;
Hej — na koń! na koń! bo czasu niema.

Patrz! jak wspaniały orszak się rozwija,
Że aż myśliwska raduje się dusza.
Widzisz jak rumak tam rumaka mija —
To polska dziatwa na łowy wyrusza.
Bośmy nie strzelcy jakich dziś tak wiele,
Co to z niemiecka a z czeska potrosze,
Co to strzelają skowronki, chruściele,
Albo w zwierzyńcach bażańcie kokosze.
Ni tacy — co to polują dla tonu,
I z krzesła zwierza strzelają z za krzaka,
Lub z psiarnią karłów przybyłych z Albionu,
Gonią na polu nędznego szaraka.
O — nie — innego nam potrzeba zwierza.
My dziś ostatnia drużyna dobrana
Ostatnia — jakby z ostępów Nieświerza,
Z Radziwiłłowskiej szkoły i Rejtana.
Ujrzysz — to hufiec w łowach wyćwiczony —
Pod każdym rumak się miota i pryska,
W ręce każdego sztuciec doświadczony,
Z boku kordelas wyostrzony błyska.
Naszych praojców, łowców, zgasłe cienie
Z obłoków na nas dziś patrzą szczęśliwi,
Że w ślad ich kroczy młode pokolenie,
I szepczą z dumą: to polscy myśliwi!
Młodzieży miejska! wątła — zniewieściała —
Ciebie dym cygar kasynowych kryje.
O! żal mi ciebie żeś niedoświadczała,
Jak serce łowca pośród lasów bije.
Porzućcie karty, szachy i bilary
Młodzieńcy! z starców bladością na twarzy,
A tam poznacie nowe życia czary,
O których knieja duszy strzelca gwarzy.
Poznacie, że to milej śród pogoni
Matować dzika, niśli w szachach króla,
I że daleko milej uchu dzwoni
Kula z ołowiu, niż bilaru kula.
Że pierś swobodniej oddecha śród jarów,
Niż śród najlepszej gry karcianej weny,
Że milsza piosnka dobranych ogarów,
Niż „Orfeusza“ i „Schöne Heleny.“

(Dokończenie nastąpi.)

WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKÓW
KSIĘCIA OGIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Po upływie kilku godzin opuściłem Mohilew i udałem się wprost do Warszawy. Znużenie, naturalny skutek długiej podróży, zatrzymało mnie w domu i przeszkodziło mi przedstawić się królowi natychmiast po przybyciu. Król przysłał mi bilet z zaproszeniem do siebie na obiad do Łazienek, i zarazem z wyrzutem, żem się nie stawił u niego, co przypisywał przyczynom, o których życzył sobie pomówić ze mną szczegółowo.

Nie rozumiałem tego ostatniego zdania, i pospieszyłem z pewną niecierpliwością, by usłyszeć wyjaśnienie, kiedy wreszcie po obiedzie król wziął mnie na stronę, mówiąc, iż bardzo był zmartwiony dowiedziawszy się, że jestem z liczby osób, które nie pochwalają konstytucji 3go Maja; że gdyby ktokolwiek inny ją potępiał, małoby się troszczył o to, lecz że ja byłem zbyt znanym i wpływowym w kraju, ażeby moja opinja nie oddziałała na umysły wszystkich, którzyby dowiedzieli się o moich przekonaniach co do rzeczonej konstytucji.

Odpowiedziałem otwarcie królowi, iż złożono mu fałszywy raport, że mało mi zależy na dowiedzeniu się o autorze tej wieści zmyślonej i że nim pogardzam; lecz mimo to radbym wiedzieć, czy król posiada w rękach jakikolwiek inny dowód, prócz doniesienia gołosłownego. Król wyznał mi, że nie miał w rękach takiego dowodu, lecz że chodziło o list, który posłałem do Hagi, a w którym nietylko, że nie godziłem się z czynnościami sejmu i konstytucją 3 Maja, ale nadto wyraziłem w nim swoją niechęć.

Wyjaśnienie nie wiele czasu zajęło, gdyż nie trudno mi było przypomnieć sobie przyczynę, która zrodziła te podejrzenia.

Opuszczając Hagę, przyrzekłem pewnemu dyplomacie a memu koledze, z którym żyłem w stosunkach ścisłej przyjaźni, prowadzić z nim stałą korespondencję.

Był to kawaler d' Aranjo, minister Portugalski, względem którego nie miałem przyczyny być nieszczerym i który, jestem tego pewnym, nie pokazywał swoich listów nikomu. Wszystkie listy pisane do niego przezemnie, doszły go, z wyjątkiem ostatniego, do którego dołączona była paczka dość gruba, zawierająca odpowiedź na zadane mi pytania, odnoszące się do konstytucji 3go Maja. Paczka ta była przejęta, i odpieczętowana przez jednego z urzędników przy poselstwie polskiem w Hadze, człowieka złej wiary, który złajany nieraz słusznie odemnie za niedopełnienie kilkakrotne swych obowiązków, podczas mego pobytu w Hollandji, postanowił zemścić się za to, wręczając prymasowi, bratu królewskiemu, w czasie jego przejazdu przez Hagę, wspomniany list, w którym obiecywał sobie znaleźć niezaprzeczony dowód mojej nienawiści względem króla, i lekceważenie konstytucji 3go Maja.

Prymas uwiadomił o tem króla, nie przedstawiwszy listu, który mógł zagubić; lecz ja posiadałem kopję, którą obiecałem przynieść nazajutrz, uprzedziwszy króla, że wyczyta w niej niektóre zdania tyczące się jego osoby, lecz mimo to nic, coby słusznie mógł potępić.

Następnie zapewniłem króla, że list będący w mowie nie był urzędowym, lecz że pisałem go z całą otwartością serca do przyjaciela, którego charakter i przekonania były mi dobrze znane, a zarazem do ministra mocarstwa zbyt odległego od Polski, ażeby mogło nam w czemś szkodzić; że wreszcie obcy zamiarowi lekceważenia konstytucji 3go Maja, mówiłem o niej

z wszelkiemi pochwałami, na jakie zasługuje, oddając cześć jej autorom, i że nakoniec obawy i niepokój wyrażony przezemnie względem przyszłości, dowodziłyby raczej, że sprawy mej ojczyzny leżą mi na sercu, że pragnąłem ażeby wszystkie usiłowania narodu połączyły się, w celu utrzymania siły Polski i konstytucji, którą sobie naród utworzył. W końcu wyznałem szczerze, że zdania tyczące się króla, były wynikiem moich przekonań, dodając, że przekonania te podzielane są przez wiele osób, najszczerzej królowi oddanych.

Po upływie dwóch dni, król polecił mi przyjść do siebie, a wtedy przyniosłem mu list, którego kopia brzmi jak następuje:

„Panie! zapytujesz się pan o szczegóły odnoszące „się do dnia 3go Maja, o którym gazety i kurjerzy wysłani do różnych ministrów w Hadze, przynieśli wiadomości nie zadawalniające pańskiej ciekawości. Spodziewam się, że będziesz pan zadowolony zemnie; „bowiem posełam Mu przez okazję grubą paczkę, zawierającą wyciągi z diarjusza sejmowego z przekładem „główniejszych rozpraw, wypowiedzianych na zgromadzeniu 3go Maja, również opis wspaniałej ceremonji w tymże „dniu, zrobiony przez naocznego świadka, na którego „wiarogodności, polegać pan możesz.

„Odnośnie więc do pierwszego pytania, zadawalniam „pana w zupełności. Trudniej mi zadosyć uczynić drugiemu „i wypowiedzieć swoje przekonania co do zmian mających być wprowadzonemi do rządu polskiego, i co do „rezultatów, jakie sobie z nich obiecuję. Znane są panu „uczucia moje względem kraju, o którym tyle razy mówiliśmy podczas mego pobytu w Hadze, i wyznam, żem „doświadczał przyjemności z rozmowy z panem w tym „przedmiocie, ponieważ sprzyjasz Polsce i Polakom, i ponieważ pańskie uczucia harmonizowały z memi w życzeniach, jakie wypowiadaliśmy dla szczęścia ludów „w ogólności, jak również w pogardzie dla wszystkiego „co jest bezprawiem, przemocą i niesprawiedliwością.

„Z tej to przyczyny potępialiśmy wspólnie postępowanie Rosji względem Polski, i pod tym względem „także godziliśmy się, że Polska dręczona i prześladowana od tylu lat, powinna starać się wydobyć z pod „jarzma, pod którem jęczy, i korzystać z obecnych okoliczności w celu zmienienia form swego rządu. Lecz czy „konstytucja 3go Maja odpowiada w zupełności zamiarom, dążnościom i pragnieniom Polaków.... na to nie „umiałbym panu odpowiedzieć, tymbardziej, że zaledwie „15 dni temu, jak skończoną i ogłoszoną została. Wypadki następowały po sobie z taką szybkością, iż zaledwie miałem czas na odczytanie nowej konstytucji „po jej wydrukowaniu, a temsamem nie robiłem nad nią „jeszcze głębszych spostrzeżeń, bowiem wszyscy żyjemy „tu w stanie pewnego upojenia i zachwytu, który nie „pozwala myśleć z zimną krwią o przyszłości.

„Przyznaję, że konstytucja oparta jest na zasadach „słusznych i umiarkowanych; że godzi się bardziej, aniżeli wszelka inna z charakterem narodowym i z obecnym stanem Europy, w którym walka między anarchią „a despotyzmem stała się nieuchronną. Jestem przeświadczony o prawości usiłowań mych współrodaków — podziwiam ich odwagę, wytrwałość w walce z trudnościami „napotykanemi na każdym kroku, widzę nawet że król „z dobrą wiarą usiłowania te popiera, i że w chwili gdy „piszę do pana, jest on również uniesiony zapałem, jak „wszyscy inni dla wielkiego dzieła, które uważa za „swoje....

„Lecz możnaż patrzeć bez uczucia niepokoju i obawy „na zbliżenie się Szwecji i Rosji, na pokój, który wkrótce „nieuchronnie nastąpi między tem mocarstwem a Turcją; „na konszachty potajemne z dworami przyjaznemi dotąd „Polsce, i nakoniec na strach paniczny, wywołany przez „rewolucję francuzką, we wszystkich gabinetach europejskich?...

„Wyznam, że mimoto nie rozpaczałbym jeszcze o „ocaleniu mej ojczyzny, gdyby dwanaście miljonów mieszkańców tworzących naród, połączyło się w obronie „swych granic i swej konstytucji; gdyby stronnictwo „opozycyjne, jakkolwiek nieliczne, lecz prowadzone przez „osobistości bogate i wpływowe, nie szukało pomocy „w Rosji, w celu zniweczenia wszystkiego, co sejm ustanowił, a to w celu wywołania reakcji w następstwie „koniecznie krwawej; i gdyby wreszcie król stanął na „czele walecznych, prowadząc ich na pole sławy, i własnym przykładem zachęcając chętnych sobie, do naśladowania!... Mogę pana zapewnić, że na pierwsze „wezwanie króla, wszyscy obywatele porzuciliby swoje „ogniska rodzinne; naród cały by się uzbroił; każdy „oddałby wszystko, co posiada na usługę ojczyźnie.

„Mówię o tem z całą pewnością, bowiem znam „swoich współpatrjotów gotowych do największych ofiar, „gdyby tylko przywódzca, podzielający szczerze ogólny „entuzjazm i ogólnem zaufaniem zaszczycony, stanął na „ich czele; i nie mogę zaprzeczyć, ażeby król, który „w tej chwili posiadł miłość i wdzięczność narodu, nie „był odpowiednim przywódzcą....

„Lecz pióro z rąk mi wypada, kiedy pomyślę, że „ten król dobry, lecz słaby; pragnący dobra, lecz nieposiadający dosyć odwagi i stałości i silnej woli, ażeby „powziąć postanowienie stanowcze, pierwszy szukać będzie drogi pojednawczej, skoro tylko dadzą się słyszeć „pierwsze groźby Rosji! Nie porzuci on swych skłonności pokojowych, nie poświęci spoczynku i spokoju „swego, dla niepewnych losów wojny — i wbrew swym „obietnicom i najlepszym chęciom, poświęci swą sławę „i naszą biedną Polskę!... Obym się mylił, pragnę „tego bardziej, aniżeli się spodziewam, etc. etc....

Warszawa, 20 Maja 1791.

Michał Ogiński."

Sledziłem króla czytając ten list i dostrzegłem, że oryginał nie był mu przesłanym, bowiem słuchał z wielką uwagą, a list sprawił na nim silne wrażenie, którego ukryć nie zdołał.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD LITERACKI.

przez Cz. P.

Pogadanki o literaturze węgierskiej (ciąg dalszy). — *Biblioteka „Mrówki.“* — *Umrzeć z miłości, Stella, w tłomaczeniu I. Retingera.* — *Minerva národní zábavník.*

— *Pogadanki o literaturze węgierskiej* (ciąg dalszy). Na schyłku zeszłego, a na początku obecnego stulecia, zjawia się nieco wybitniejsza postać poety. Jest nim Sandor Kisfaludy (1772—1844).

Poeta ten, stanowi niejako przejście z epoki naśladownictwa, w epokę rodzimej, oryginalnej literatury. 400 napisał pieśni, zebranych w dwudziestu rozdziałach, a chociaż za temat służą mu wrażenia czerpane w życiu czysto węgierskiem, to przecież niemógł się zupełnie otrząść z wpływów literatury obcej, bo z pieśni p. Kisfaludy, wszędzie przebija Petrarka.

Liryzm u niego pełen melodji — prawdziwy, natchniony; temat — motywa, swojskie — rodzime, węgierskie; forma, sposób pisania, pożyczane od Petrarki. — Kisfaludy śmiało zwać się może zwiastunem jasnego zarania dla literatury węgierskiej, jakkolwiek współcześni jego, większego u Węgrów dostąpili uznania. Mianowicie Karol Kisfaludy (ur. 1790), autor wielu nader dowcipnych, na tle czysto narodowem osnutych komedji i kilku historycznych dramatów. Dramata jego spotykały się z zarzutem, że grzeszą, naciągnieniem historycznych charakterów do jakiejś nieuzasadnionej sentymentalności.

Dalej do współczesnych należą: D. Verszenyi (ur. 1780), T. Kölesey (ur. 1790), M. Csokonay (ur. 1773), i M. Vörösmarty (1800—1855).

Wszyscy wymienieni, mniej lub więcej z jednego i tego samego źródła czerpali natchnienie. Źródłem dla nich był charakter węgierskiego ludu, ludowa poezja, i to głębokie poczucie narodowego ducha, które na pozór wydaje się być tak łatwem do ogarnienia dla serca, a które przecież, jedynie niezwykłe talenta pojąć, niezwykłe serca ogarnąć zdołają.

Tej gromadce wymienionych poetów, zawdzięczają Węgrzy swoją prawdziwie narodową literaturę, boć oni wysnuwszy myśl i uczucie z narodu, przybrali je w kształty poetycznej formy, i to co wzięli, napowrót narodowi upiękniωne sztuką oddali.

Kölesey pisał ballady i romanse, Csokonay'a pieśni przeszły w usta ludu, a Vörösmarty zużytkował swój niezwykły talent prawie we wszystkich rodzajach poezji, a szczególniej w dramacie historycznym.

Vörösmarty jest autorem sławnej węgierskiej pieśni „Szózat“ (Wezwanie), która temsamem jest dla Węgrów, czem dla nas „Jeszcze Polska nie zginęła.“ Gdyby Vörösmarty niebył więcej nic napisał prócz tego, toby mu się już należało miano: wielkiego narodowego poety. Wykształciwszy się na wzorach niemieckich i angielskich poetów, pisał ody, elegie, epopeje i dramata, które o wiele przewyższają dzieła jego poprzedników i jemu współczesnych poetów, tak, że słusznie nazwać go można twórcą i przewodnikiem literatury węgierskiej. Wymienić tu jeszcze musimy trzech liryków: Bajza, Lisznyay i Bartfay.

Nowsze czasy wydały prawdziwie gienialnego poetę, jakich każdy naród ma w Europie nie wielu. Prawdziwie oryginalnym i narodowym poetą jest Aleksander Petöfi (ur. 1 stycz. 1823 w Kis-Körös, zabity przez kozaków 31. lipca 1849 pod Fejeregyhaza), którego pieśni wojenne wśród bitew powstania 1848 r. spiewali Czikosy, którego prorocze pieśni o ojczyźnie cała młodzież spiewa — a pieśni o miłości każda dziewczyna powtarza. Jego powieści poetyczne wcisnęły się we wszystkie warstwy społeczeństwa, dla wszystkich pełne uroku i dla wszystkich zrozumiałe.

Petöfi należy do rzędu niezmordowanych, płodnych, zawsze pełnych natchnienia poetów, jakimi był Szyller, Goete, Słowacki i niewielu innych. Jego liryczne poezje pojawiły się w sześciu zbiorach pomiędzy 1844 a 1847 r. mianowicie: „Poezje,“ „Nowe poezje,“ „Perły miłości,“ „Cyprysowe liście,“ „Bezgwiezdne noce,“ „Chmury.“ — Poezje Petöfi'ego tem łatwiej nacechowały się wybitną oryginalnością, że poeta czerpał natchnienia, jedynie w swej duszy i otaczającej go przyrodzie. Choćby był chciał, toby był nie mógł i nie umiał naśladować innych. Na to potrzeba studjów, których nie miał Petöfi.

Wcześnie wydostawszy się z ławy szkolnej, został żołnierzem, ażeby nie być studentem, następnie został aktorem, ażeby nie być żołnierzem. Jako członek koczującego towarzystwa artystów dramatycznych, nie miał sposobności, ani czasu kształcić się, i dlatego też talent jego pozostawiony sam sobie, rozgorzał czystą niezmąconą fantazją, rozbudzoną przez naturę jedynie. Pełen jasności i swobody ducha, pełen humoru, dumny ze swojej ojczyzny, pełen zapału dla narodowej sprawy, prowadzi nas pieśniami swemi w sferę silnego, zdrowego, poetycznego, jędrnego ludu. Wszędzie za tło służą mu pieśni ludu i z nich wysnuł pełne plastyczności, a naiwne obrazy z życia wieśniaka, pasterza i zbójcy.

(Dokończenie nastąpi).

— *Biblioteka „Mrówki.“* Niedawno jeszcze, były w kraju naszym polskie książki rzadkością, a półki księgarzy przepchane bywały dość lichemi piśmidłami tandetnych pisarzy niemieckich, a jedynie tłomaczenia polskie z innych języków, błąkały się tu i owdzie. Zaledwie kilka osób wyższej inteligencji, kupowało i czytało dzieła polskie, a szersza publiczność, ogół czytających, z małymi wyjątkami, karmił się powodzią niemieckich wydawnictw.

Z jednej strony, powodem tego były rozporządzenia dawnych rządów absolutnych, czysto niemieckich, w obec których czytanie jakiejkolwiek polskiej książki, niemal za zbrodnię, poczytywanem było. Z drugiej strony obojętność polsko-galicyjskiej publiczności i jej uprzedzenia, że polskie książki są zbyt drogie — tamowały ruch wydawnictw polskich.

Publiczność polska w Galicji, tak zmalała, skarłowaciała pod względem zamiłowania w ojczystej literaturze, że rozrywała chciwie lada świstek niemiecki, lada ramotkę obcą, a nie patrzyła nawet na rzeczy swojskie.

Jeżeliś czasem, widząc w ręku przyjaciela, jakiś romans niemiecki, namawiał go, aby polskie czytał dzieła,

to niezawodnie usłyszałeś odpowiedź: „Polskie książki bardzo drogie.“ — Ani słowa! polskie książki w porównaniu z niemieckiemi są drogie, muszą być drogie, bo taniość książki zależy od ilości sprzedawanych egzemplarzy. A jeżeli książka niemiecka rozchodzi się w stu tysiącach egzemplarzy, to polska zaledwie w dwustu się rozchodziła.

Trudno przecież żądać ofiar z całego mienia od nielicznych nakładców. Czytajmy, kupujmy dzieła polskie jaknajliczniej, a pewnie taniością wyrównają niemieckim.

Ta dziwna, hańbę nam przynosząca obojętność, dziś już nawet drogością dzieł polskich, usprawiedliwić się nieda. Oto zacne, pełne zapału i wytrwałości, a niezmordowane wydawnictwo „Mrówki“ we Lwowie, już od roku obdarza nas swą „Biblioteką,“ wydawaną w tym celu jedynie, aby wszystkie domy polskie zaopatrzyć w dzieła doborowe, a tak tanie, że taniością przewyższają niemieckie nakłady.

Pierwsza serja tego wydawnictwa, obejmowała 150 arkuszy druku, za cenę 4 złr. w. a., zatem arkusz druku wypada po $2^3/_4$ cent. — Czyż może być coś tańszego, już nie w polskiej, ale w każdej innej literaturze, tem więcej, jeżeli weźmiem na uwagę, że wydawnictwo „Mrówki“ — w „Bibliotece“ swej, podawało nam takie arcydzieła, jak „Przedświt“ Krasińskiego.

Mimo tego, wydawnictwo to, przez rok swego istnienia, pozyskało zaledwie 500 prenumeratorów!

W roku bieżącym, rozpoczęła się druga serja tego wydawnictwa, a pierwszym zeszytem tej serji jest: „Kęs chleba“ Władysława Syrokomli. — Źleby było, gdyby wydawnictwo „Biblioteki Mrówki“ nie pozyskało w tym roku podwójnej liczby dawniejszych prenumeratorów.

— *„Umrzeć z miłości,“* komedja A. Bergena; *„Fips krawiec damski,“* komedja Kotzebuego; *„Stella,“* dramat Goetego; wszystko w przekładzie I. Retingera, w Krakowie w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego r. 1870. Najpierw robimy uwagę tłomaczowi, że wybór komedji Kotzebuego, nie zupełnie był szczęśliwy. Można było przyswoić coś lepszego polskiemu językowi, tem więcej, że w literaturze niemieckiej są skarby nieprzebrane.

Aby tłomaczyć dobrze, potrzeba oprócz gruntownej znajomości języka z którego się tłomaczy, umieć zarazem biegle władać piórem w języku, na który rzecz się przekłada.

Tłomaczowi brak cokolwiek tej biegłości w języku polskim, ztąd też tłomaczenie jego w dialogach niema życia, werwy — jest wystrugane, drewniane. W całości chromieje, pokaleczone germanizmami.

— *Minerva národni zabávnik*, sostavil z naloženia vyboru Ján N. I. Bobula, v Pesti 1869.

Już kilkakrotnie zwracaliśmy uwagę Czytelników naszych, na pobratymcze nam plemiona sławiańskie i ich stanowisko w obec rozwijającej się historji nowożytnej. Niezawodnie w historji niedalekiej nas przyszłości, Sławiańszczyzna niemałą odegra rolę, bo z jednej strony budzenie się poczucia narodowego u Sławian południowych, a z drugiej strony, moskiewska propaganda i fałszywa polityka rządów nad Sławianami panujących, sprowadzić muszą katastrofy, w skutek których, Sławiańszczyzna do nowego życia, do czynów się obudzi.

Panslawizm sam przez się, jest utopią. Panslawizm rozpięty na moskiewskim sztandarze, jest ciosem morderczym, wymierzonym w pierś Sławiańszczyzny. Jedynie federacja sławiańskich plemion południowo-zachodnich i wschodnich, i pewne ugrupowanie się tychże plemion, w samodzielne państwa, może się stać podstawą życia sławiańskiego w historji. Wspominaliśmy już, że pojedyncze narodowości sławiańskie, nieliczne, słabe, dążą do jakiegoś zlania się, dla pozyskania siły. A że Moskwa, z prawdziwie bizantyńską chytrością, płaczem krokodylim wabi je do siebie, więc też nie znając jej — z całą naiwnością prostoty marzą, jakby o szczęściu — o rządach białego cara.

Mówiliśmy już także o tem, że nasz naród, wyłoniwszy się ze Sławiańszczyzny, zapomniał o pobratymcach swoich, bo silny sam przez się, nie widzi potrzeby szukania oparcia w Sławiańszczyźnie. A jest to i dla nas i dla pobratymców naszych szkodliwem.

Zamiast szukać oparcia w dyplomacji zachodniej, szukajmy jej w idei sławiańskiej, a jeżeli się nie wzmocnimy, to przynajmniej osłabimy Moskwę.

Silni moralnie, stojący na najwyższym szczeblu cywilizacji śród Sławian, mający dziesięć wieków zaszczytnej historji po za sobą, a przed sobą przyszłość pewną — niezawodną, stańmy się przewodnikiem Sławiańszczyzny, stańmy się dla niej źródłem, z którego zaczerpią bracia nasi, światło, braterską miłość, wytrwałość w męczeństwie, i natchnienie do dalszego rozwoju. Drobne narodowości sławiańskie, szukają brakującej im siły — a znajdują takową w Moskwie silnej fizycznie, a moralnie zgniłej, spruchniałej. Stawmy im naszą siłę moralną przed oczy, zbliżmy się do nich, a garnąć się do nas będą.

Jeżeli weźmiem na uwagę względy geograficzne i historyczne, to mimowoli nasuną się nam przed oczy, możliwe w przyszłości grupy państw sławiańskich, utworzone na podstawie federacji. I tak federacja najdawniejsza, uświęcona historją i wspólnem męczeństwem, federacja polsko-ruska, do której Czechja z krajami przybocznemi, najwłaściwiej przyłączyć by się powinna.

Druga grupa już się zebrała, jakkolwiek sfederowana z silniejszym żywiołem napływowym, a to federacja węgiersko-sławiańska. Czyż państwo węgierskie dzisiejsze, nie jest federacją, w skutek stanowiska Kroacji? — Sławiańszczyzna turecka, utworzyć może trzecią grupę, pod przewodnictwem Serbów. — Takie ukształtowanie się Sławiańszczyzny, zdaniem naszem, przyniesie nam niedaleka historja.

W Sławiańszczyźnie węgierskiej, idea federacji z Węgrami, przyjęła się i rozwija, mimo klamliwych zaprzeczeń nieprzychylnych temu głosów. — Słowacy pracują wiele nad rozbudzeniem i podniesieniem swej narodowości, ale hasłem ich — korona św. Szczepana, sławiańsko-węgierska. Organem ich jest dziennik w Peszcie wychodzący „Slovenské Noviny“ z godłem: „wolność i równość“ z Węgrami. To niby oddźwięk naszych zaślubin z Litwą i Rusią: „Wolni z wolnymi, równi z równymi.“

Towarzystwo węgiersko-sławiańskie „Minerwa,“ obok „Slovenskich Novin“ — wydaje pismo w języku niemieckim „Der Slovak,“ pełne artykułów o Polsce, pisanych sympatycznie i ze znajomością rzeczy. — Niedawno nakładem tegoż Towarzystwa, wyszło album słowackie, zatytułowane „Národni zábavnik.“

Album to, wydane nader elegancko, składa się przeważnie z drobnych poezji, z kilku rozpraw, życiorysów, z dramatu i dłuższego poematu, pod tytułem „Radzivillovna, králová polská.“ — Poeta zaczyna wstępem do Polski i Litwy — i pyta:

Polsko i Litwo! — czy dotąd żyjecie?
Oj, trzechsetletnie święcicie wspomnienie
Waszego związku, — choć kąkolu kwiecie
Djabeł w to wasze wmięszał sprzymierzenie.
Małżeństwo wasze rozerwały losy,
Wróg możny w swary wasze się uzbroił,
Spojenie wasze, rozerwał, rozdwoił.
Tak smutno szumią dziejów waszych głosy!

A potem mówi poeta, o nowem zjednoczeniu, o wolności, która każdemu narodowi sławiańskiemu niedługo zaświeci, lecz pierwej „z Moskwy nowy pożar zaświeci, zwiastując Polsce: wolność, odrodzenie.“

Widzimy z tego, że Słowacy wcale nie sympatyzują z Moskwą, wiedząc, że Moskwa to zbójca Sławiańszczyzny, ustrojony w zrabowane Sławiańszczyźnie szaty.

Zanadto może w stosunku do szczupłych ram naszego pisma, rozpisaliśmy się o sprawie Sławiańszczyzny. Jednak wypływało to z naszego programu, w prospekcie zapowiedzianego.

KRONIKA I ROZMAITOŚCI.

(Ojczyzna. — Djabeł. — Kurjer Warszawski o balach. — Bal Poznański. — Rozczarowanie).

— *Ojczyzna.* **Przyrzekliśmy, z dzisiejszym numerem rozpocząć druk „Ojczyzny“ p. Sardou, w tłomaczeniu W. hr. Bobrowskiego. Jednak, ponieważ W. hr. Bobrowski niemógł z powodu ogromnych zajęć, przygotować manuskryptu, zatem dopiero z następnym numerem druk „Ojczyzny“ się rozpocznie.**

* * *

— *Djabeł.* Mimo, że „Djabeł“ krakowski niezbyt świetną w spółce z „Kaliną“ przepowiada nam przyszłość, nie możemy się powstrzymać, od złożenia należnego hołdu dowcipowi Jego djablej mości. Nr. 16 tego pisma, pełen jest oryginalnego dowcipu, a choć oryginalność ta może za szczypiąca, jednak nie dotkliwa. Rycina na 1 str. przedstawiająca typy krakowskie, zaopatrzona wybornem tłomaczeniem. — Najdoskonalszym jest Dr. Giskra, uczący się konnej jazdy. Pierwszy koń: C z e c h y, zrzucił jeźdźca, a unosząc się, niezbyt grzeczną w obec p. ministra przybrał postawę. — Drugi koń: D a l m a c j a, przeskakując przewracającą się szubienicę, zrzuca jeźdźca na głowę. — Trzecim koniem jest: G a l i c j a, na którym minister jedzie ku Moskwie. Delegacja polska, prowadzi konia za uzdę, aby się nie spłoszył. — Czwarty koń drewniany z napisem: P o l i c j a. Na tym koniczku, doktor-minister, najbezpieczniej siedzi, a nawet pióro za uchem zatknięte, się nie porusza.

Przepraszamy Szanownego „Djabła,“ że mówimy o nim w miejscu niewłaściwem. Dziś, tymczasowo w Kroniczce rozprawiliśmy się z jego dowcipem, a niedługo w Przeglądzie literackim pomówimy o znaczeniu pism humorystycznych w literaturze, i wtenczas „Djabłowi“ więcej poświęcimy miejsca.

* * *

— *Kurjer Warszawski o balach.* Należałoby donieść coś o karnawale, o tych balach, które w przeciągu dni dziesięciu się odbyły, o toaletach dam, o zabawach, — słowem o tem, co dziś jedynie prawie zajmuje tych, którzy bawić się mogą i chcą. — Sprawozdania takie, zanadto byłyby stereotypowe, a że niechcemy się powtarzać, wolimy iść za przykładem „Czasu“ i podać wyjątek z „Kurjera Warszawskiego“: „Zebrana młodzież z całym zapałem tonęła w wirze polek, marzyła w walcach, gwarzyła w kontredansach i spożytkowała młodzieńczą werwę w mazurach.“

Oto, co o każdym balu pewiedzieć można.

* * *

— *Bal Poznański.* W ostatni poniedziałek wypada bal na teatr w Poznaniu. Przypominamy o nim w nadziei, że nietylko bal w Krakowie się uda, ale, że w całym kraju, jeżeli czas jeszcze pozwoli, bale — a jeżeli nie, to w poście koncerta, na ten cel, urządzone zostaną.

* * *

— *Zabawne rozczarowanie* spotkało niedawno w Berlinie, jednego z wielbicieli „sztuk pięknych.“ Jedzie dorożką i spostrzegłszy przechodzącą śpiewaczkę panią Lucca, wychyla głowę, żeby ją lepiej widzieć. Ale o dziw! Pani Lucca daje mu znak oczami, potem ręką, lecz niebył jeszcze pewnym, czy to do niego się odnosi, lubo miłość własna mocno w nim połechtaną była. Ale p. Lucca widząc, że dorożka mija, psyka na jadącego wielbiciela swego. Ten wyskakuje jednym susem z dorożki, staje przed śpiewaczką i pyta, co każe — gotów jest bowiem.... „Daruj pan, rzecze śpiewaczka odrażającym berlińskim dialektem, kiwałam na woźnicę, bo zgubił derkę.“ *(Czas).*

KORESPONDENCJA REDAKCJI.

(Odpowiedź anonimowi). Niemając rozwiązania przysłanych nam szarad i nieznając nazwiska przysełającego, przypuszczamy, że rozwiązanie jest właśnie jego nazwiskiem.

Poznanie anonima, utwierdziłoby nas zapewne w tem przekonaniu.

P. R....ski w Nowym Sączu. Nie z d. 1 marca, ale z 1. kwietnia, zaczniemy dołączać do „KWIATÓW“ Bazar w języku polskim. „KWIATY“ prenumerować będzie można z Bazarem, lub bez tegoż. Bazaru bez „KWIATÓW“ niebędzie można prenumerować.

Czesław Pieniążek odpowiedzialny redaktor, właściciel i wydawca.
W. hr. Bobrowski współredaktor.

W Drukarni „CZASU“ *W. Kirchmayera.* Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*